

ciła jakoś ochotę do oglądania barwnych materyj i poszła dalej, mówiąc z pewną niechęcią:

— Ty zawsze musisz wyszukać coś smutnego, co zepsuje człowiekowi humor.

Anielka chciała coś odpowiedzieć, ale w tej chwili uwagę obu pań zajął dyalog, prowadzony tuż koło nich po polsku. Rozmawiającymi byli dwaj chłopcy, ubraniem i wyglądem zewnętrznym bynajmniej nie dostosowani do eleganckiego tła otoczenia.

— Antek! Jak się masz?!

— Staszek! Servus, brachu! A ty skądś się tu wziął?

— A ja widziałem z Chocania i teraz se chodzę po Pradze.

— 70 halerzy bierzesz?

— Ale, gdzie ci tam! Odebrali mi rządową pensję za to niby, uważasz, że dał dymę z Chocania. Chcieli mnie przytknąć, ale wymigałem się.

— No to z czego żyjesz?

— A święty Wincenty mnie żywi!

— Jaki święty Wincenty?

— To jest takie towarzystwo, gdzie są same panie i panny — tam można dostać ubranie, buty, obiad, ale wszystko za kartką! Ale taką kartkę, brachu, to można obić — za kartkę na obiad to „szubę“ gotówką dostaniesz. A jakby jaka pani skapowała, żeś kartkę obić, tobyś se som musiał kartkę napisać, ale na taką to figę dostaniesz. A ty tutaj niby co robisz?

— A przyjechałem z matką, nie wiesz to, że mój ojciec przy kolei był? Ale ci mnie matka kiepsko żywi — jeden dzień mamałga, a w drugi groch albo pećak i tak jest furt naokoło. A „krwawej“ to tu nie kupi tak jak w Krakowie, ino „wirstle“ z „horczicą“ albo z „krzenem“.

— A to co, ta „horczica“?

— A to tak Czechy przewali muśtarde. Ten czeski język to ci dopiero śmieszny. Jak chcesz gadać po tutejszemu, to ino se przekręć po polsku i wał śmiało. A nie gadaj kielbasa ino „klobasa“, nie biała ino „bila“, nie czarna ino „czerna“ i klawo! Kuźdy cię zrozumiał! A „szubę“ masz?

— Mam!

— No to walmy na „wirstle“.

Chłopcy zatrzymali się na rogu, gdzie przekupień ustawił swój przenośny piecyk i sprzedawał gorące „wirstle“.

Pani Krystyna śmiała się szczerze z zasłyszanej rozmowy. Anielka uśmiechała się również, ale po chwili nasunęły się jej widocznie jakieś poważniejsze refleksje, bo, skreślając na „Vaclavské náměstí“, rzekła w zamyśleniu:

— Tyle tej naszej, polskiej biedoty błaka się tutaj po praskim bruku! — Ilu z tych naszych uchodźców żyje w największej nędzy lub moralnym zaniedbaniu! A my sobie chodzimy po kawiarniach, teatrach, sklepach, jak gdyby nas to wszystko nic nie obchodziło.

Ciotka zachnęła się obrażona.

— Jakto, może zarzucisz mi teraz, że nie mam serca dla biedaków, że się nad nimi nie lituję?! Czyż usunęłam się choć raz od jakiejś składki, czy odmówiłam kiedy pieniędzy na jakiś cel?!

— Ależ, ciociu, dobrze wiem o tem, że masz złote serce i nigdy nie pożałujesz grosza na dobry cel... Tylko, widzisz, same pieniądze to czasem za mało — tu trzeba jeszcze pracy i energii...

— Moja kochana! Jest tutaj już tyle rozmaitych towarzystw i komitetów, które się temi sprawami zajmują, że się bez nas obejdzie.

— Ja myślę, że ręk do pracy nigdy za wiele... Zajęte rozmową nie zwracały uwagi na to, że od jakiegoś czasu siedzi z nimi, pilnie je obserwując, jakiś żyd z długą, siwą brodą, w mocno wytartym chałacie.

Zatrzymywał się i siedł znowu dalej, jakgdyby wahając się.

Wreszcie zbliżył się do pani Krystyny i zapytał:

— Psiepraszam, to panie są także Polki?

Pani Krystyna spojrzała na przechodnia zdumiona tem pytaniem, odrzekła jednak uprzejmie:

— Tak, jesteśmy Polkami, a o co panu chodzi?

— To może panie są z Rzeszowa?

— Nie, nie jesteśmy z Rzeszowa.

— A ja miszlał, co ja panie poznał... No to szkoda, bo ja jestem z Rzeszowa, a ja się bardzo cieszę, jak ja kogo zobaczę, co un jest także z Rzeszowa... Psiepraszam, bardzo psiepraszam...

Stary żyd pokiwał głową w smętnej zadumie, jakby z ubolewaniem, że tak trudno jest mu spotkać kogoś, ktoby był także z Rzeszowa i powłókł się dalej.

Pani Krystyna wskazała siostrzenicy ręką automat-bar, koło którego właśnie przechodziły.

— Popatrz. Automat w obłężeniu, choć przeką-

ski w nim drogie... Obok do kasy kinematografu cisną się tłumy... Ludzom nie brak pieniędzy, no i ochoty do zabawy. Widzisz więc, że pomimo wojny żyć można i trzeba. Zobaczysz, że i sale pod „Białym Łabędziem“ będą przepełnione jak zwykle. To właśnie zachwyca mnie tutaj, ten gwar, ten ruch, to bujne, wartkie życie...

Istotnie, sale parterowej kawiarni pod „Białym Łabędziem“ były natłoczone, jak zwykle, w porze podwieczorkowej. Płynęły z nich śpiewną falą tony, granego przez orkiestrę walca z „Cygańskiej miłości“:

„Ach! die Liebe macht uns jung,
Ach! die Liebe gibt uns Schwung...“

Pani Krystyna i Anielka skierowały się na drugie piętro, dokąd wskazywał im drogę wielki, biały karton, ozdobiony wizerunkiem orla polskiego, pod którym widniały słowa:

Polskie zebrania towarzyskie

II. piętro.

Weszły.

W obszernej sali kawiarnianej, podzielonej na kilka oddzielnych części, rojno było i gwarno. Salę zalewały kaskady elektrycznego światła, które tu i ówdzie tryskało czasem snopem tęczyowych barw. To któraś z pań manewrowała zręcznie rączką, zdobną w cenne pierścionki.

Powietrze było rozgrzane, przesycone zapachem kawy, dymem papierosów i cygar, oparem piwa, potem ciał i wonią perfum.

Na sali rozbrzmiewał język polski. Goście stanowili jakby jedno dobrane towarzystwo. Panie i panienki były strojne, panowie czarno ubrani — zwykły kawiarniany ludek.

Tu i ówdzie tylko szarżała nieokreślonego koloru marynarka, skromna barchanowa czy wełniana bluzka lub odcinał się od barwnego tła niewieściego stroju i czarnych surdutów siwy mundur żołnierski.

Na sali było pełno. Nowi goście z trudem zdobywali miejsce. Rozmowa toczyła się gładko, żywo, swobodnie. Bawiono się. Zgrabny, dobrze opięty i umiejętnie ufrizowany młodzian siedział przy fortepianie i akompaniując sam sobie, śpiewał:

„Młode dziewczę to zieleniak,
Bo zielono w głowie ma,
Każdy tyknie z przyjemnością
Puchar jeden albo dwa!...“

Kelnerzy uwijali się żwawo. Każdego nowoprzybyłego gościa, zaledwo siadł, zapytywali swoim stereotypem:

— Co si prejete? (Czem mogę służyć?)

Nie pomijali nikogo, nawet tych, którzy lawirowali po sali, aby z uprzejmości kelnerów jak najmniej korzystać.

— Psiakrew! — mruknął jakiś młodzieniec w mocno podniszczonym ubraniu i zalił się przed swoim towarzyszem — Chciałby człowiek chwilę posiedzieć w cieple, pomiędzy swoimi pogadać po polsku, ale dadzą ci to spokój?! Jeden wyfraczony odejdzie, to drugi ci taki sam następuje na pięty i napastuje swoim: „co se przejecie“... Pewnie, że człowiek z gustemby sobie coś przejadł, gdyby tylko miał za co!... Przecież z tych 70 „haków nowszych“, które człowiek pobiera, nie będzie sobie uczyty urządził tutaj, gdzie szklaneczka kawy kosztuje 50, a skrawek ciasta 20 „nowszych“. Ze też nie można gdzieindziej spotkać się ze swoimi, jak tylko w kawiarni i to takiej drogiej... Nie wiesz, Wacek, o jakiej lekcyi albo o jakimkolwiek innym zajęciu?

— Dyabli tam! Zebym wiedział, tobym sam wziął! Mógłby sobie człowiek wtedy choć raz na tydzień podjeść do syta!

— Patrz no!... Te napewno nie są głodne!... O! Jak to wystrojona ta starsza!...

Młodzieniec wskazał towarzyszowi spojrzeniem wchodzące do sali dwie kobiety. Były to pani Krystyna i Anielka. Na ich powitanie zerwało się dwóch panów, siedzących na przeciwległych końcach sali. Jeden z nich, starszy już mężczyzna z rudawą hiszpańską bródką i zielonawo połyskującymi oczyma o spojrzeniu bystrym i przenikliwym, wyprzedził swojego towarzysza, anemicznego młodzieńca, o ruchach tak powolnych i leniwych, że od razu odgadnąć można było, że temu się nigdy i nigdzie nie spieszy. Było to jaskrawe przeciwieństwo do pana z rudawą bródką, który ze zwinnością kota prześliznął się wśród stolików i znalazł się przy wchodzących. Kłaniając się, wyrzucił ze siebie jednym tchem:

— Całuję rączki! Moje uszanowanie! Od godziny ochraniać stolik dla pań, bronię go jak mogę, no i udało mi się go zarezerwować... Doskonale stoliczek tam na lewo... Wyśmienity punkt obserwacyjny, widać stamtąd całą salę...

— Bardzo panu jesteśmy wdzięczne... — zaczęła

pani Krystyna, ale nie zdołała dokończyć, bo przerwał jej anemiczny młodzieniec, który już teraz zdołał wydostać się z pośród labiryntu krzeseł i stolików.

— Rączki całuję! Najniższe uszanowanie! Panie tak późno!... Czekam, o mało sobie oczu nie wypatrzę, a pań niema i niema!... Zatrzymałem z trudem, z wielkim trudem stolik, ot tam na prawo pod ścianą... Zaciszny kącik...

— Pan Koncewicz zapomina — wtrącił rudawy pan, pogardliwym spojrzeniem mierząc młodzieńca — że ten jego zaciszny kącik znajduje się zbyt blisko okna i wentylatora... Czy chce pan narazić panie na zaziębienie?

— O! o! Proszę pana, panie Potyrowski — broń się z irytacją zaczepiony — zato o pański stolik musi zawadzić każdy przechodzący kelner łokciem. Nie wiem, czyby to było paniom przyjemnie.

— Ależ, moi panowie, niema się doprawdy o co sprzeczać! — rozstrzygnęła spór pani Krystyna — Dziękujemy wam obu za starania i troskliwość, a zdecydujemy się chyba na stolik pana Potyrowskiego, bo istotnie chcę coś zobaczyć. Sądję, że pan Koncewicz nie odmówi nam również swego towarzystwa.

— Jeżeli tylko panie pozwolą.

Koncewicz rzucił niezbyt przychylnie spojrzenie na pana Potyrowskiego, ale podążył za paniami w kierunku jego stolika.

Towarzystwo usadowiło się. Pan Potyrowski zajął skwapliwie miejsce obok pani Krystyny, rzucił okiem po sali i skonstatował, że w stronę jego stolika skierowało się kilkanaście par ciekawych oczu. Rad był z tego wielce, bo przekonał się, że przybycie pań, mało dotąd znanych, wywołało zaciekawienie.

— Kto to może być — szeptano przy jednym z dalszych stolików — Chyba nie matka z córką, bo niepodobne do siebie i panna, jak na córkę, ubrana trochę za skromnie...

Pani Krystyna Wolska rzuciła także na salę kilka krótkich, dyskretnie maskowanych obojętnością spojrzeń. Na twarz jej wystąpiły pod lekką warstwą pudru, rumieńce. Wywołała je drażniąca atmosfera kawiarniana i wewnętrzne zadowolenie, jakie poczynano ogarniać żadną rozrywek wdowę.

Ten rozgwar półszeptów był dla niej dawno upragnioną melodią. O takiej atmosferze kawiarnianej marzyła nieraz, oddychając świeżem, przesyconem wonią polnych ziół i kwiatów powietrzem lasów zalesińskich.

— Jak tu gwarno, jasno, wesoło — mówiła pani Krystyna do Potyrowskiego — szkoda tylko, że tak mało znam osób...

— Ależ, pani dobrodziejko, to bagatelka... Ja służę wszelkimi informacjami. — ofiarował się Potyrowski — Mam szerokie znajomości w towarzystwie, które się tutaj zbiera.

Istotnie Alfred Jerzy Jan Potyra-Potyrowski, (tak bowiem opiewał jego bilet wizytowy) zdawał się znać wszystkich z towarzystwa, zbierającego się „pod Białym Łabędziem“ i o każdej prawie osobie mógł opowiedzieć jakąś ploteczkę, czy historyjkę mniej lub więcej ciekawą.

Jako przewodnik i informator, był nieocenionym dla pani Krystyny, interesującej się żywo mało znanym jej jeszcze towarzystwem.

— O, ten poważny pan z siwą brodą — zaczął Potyrowski — to figura tutaj... To człowiek zasług, działa wiele...

— Doprawdy? — zdziwiła się pani Krystyna — Nigdybym nie przypuściła. Taką ma mało inteligentną, powiedziałałabym drewnianą minę.

Potyrowski spojrzał zdumiony, widocznie zaskoczony uwagą pani Krystyny, ale po chwili począł pospiesznie przyznawać jej rację.

— Tak! tak... Prawda!... To samo chciałem powiedzieć... Człowiek ten ma istotnie tępą fizyognomię... O! z pani dobrodziejki doskonała fizyognomistka, że tak za jednym spojrzeniem umie określić krótko a dobitnie człowieka!... Pani dobrodziejka musi dobrze znać ludzi, co w tak młodym wieku pani jest istotnie zdumiewająca.

— A kto jest ta pani? — przerwała pani Krystyna ten potok pochwał, których słuchała jednak z zadowoleniem (podziw Potyrowskiego i jego słowa o młodym wieku mile polećtały jej próżność kobiecą) — ta pani w czarnej, jedwabnej bluzce z koronkowym kołnierzem? Bardzo ładna i gustownie ubrana.

(Ciąg dalszy nastąpi).